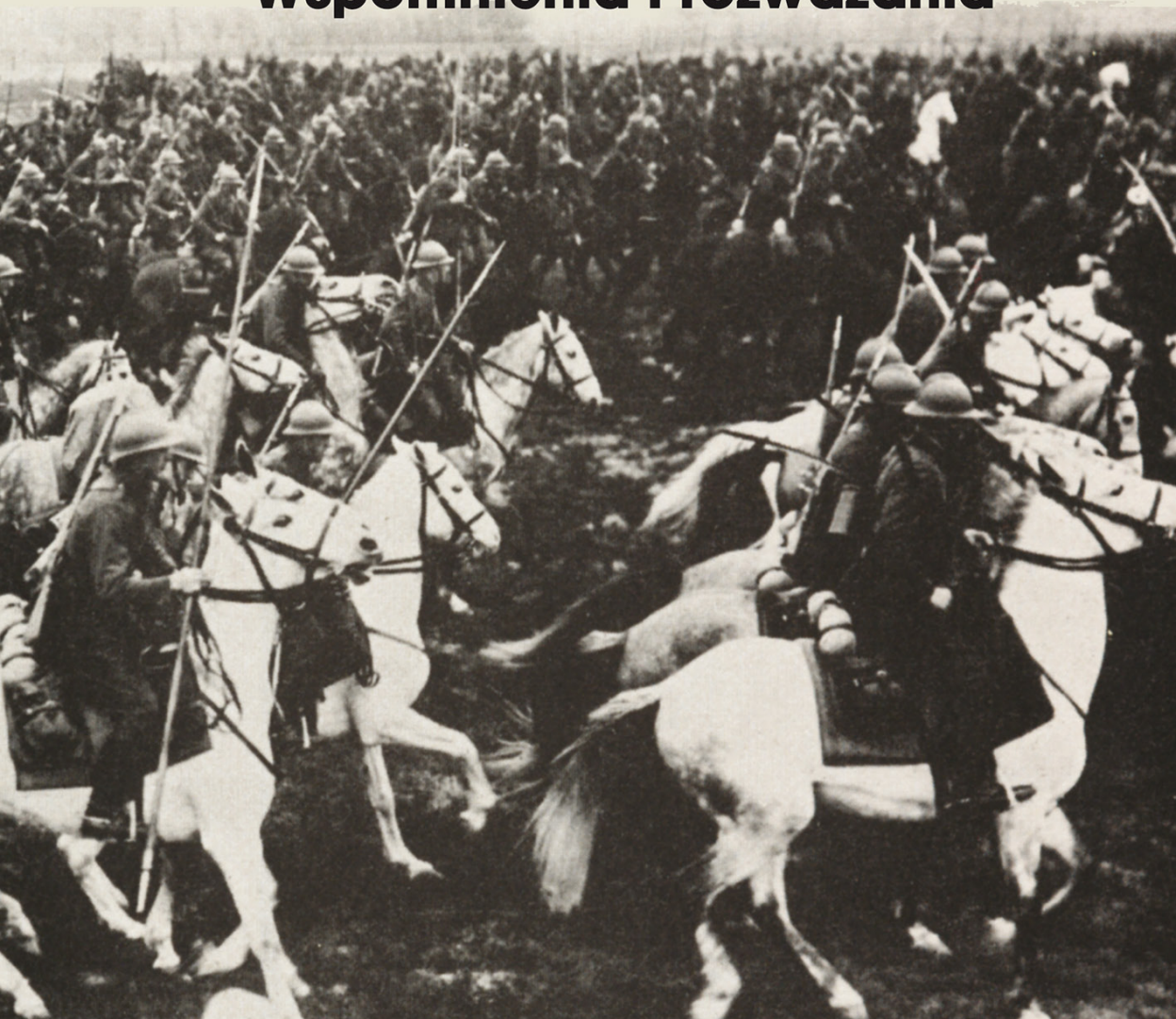


Lucjan Żeligowski

# WOJNA W roku 1920

Wspomnienia i rozważania



Lucjan Żeligowski

WOJNA  
w roku  
1920

WSPOMNIENIA I ROZWAŻANIA

ESPADON PUBLISHING  
WARSZAWA 2020

## OD AUTORA

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że przyszły poważny badacz historii wojny 1920 roku będzie musiał zająć się przede wszystkim psychologią naszego żołnierza. Tylko psycholog zrozumie cały szereg zjawisk duchowej natury, które wojna ta uwidoczniła. Psycholog, badając ciężki odwrót naszych armii na północy, potrafi wysnuć ciekawe wnioski, dotyczące charakteru i wartości bojowej naszego oficera i szeregowego.

Przeszłość naszego wojska nie sprzyjała dotąd gruntownemu zajęciu się tą kwestią. Lepiej znamy charakter naszych wodzów niż zbiorowy charakter naszych szeregowców. A właśnie wojna 1920 roku może być wdzięcznym polem do tego rodzaju analizy, zwłaszcza jeśli ci oficerowie, którzy dowodzili w linii, przewyciężą swoją niechęć do pióra i chociażby w drobnych fragmentach opowiedzą przeżycia duchowe swoje i swych podkomendnych.

Dopiero te prace dadzą nam wyobrażenie o typie polskiego żołnierza.

Dotychczas utarło się zdanie, że żołnierz nasz jest zbyt wrażliwy, że nie umie się dobrze bronić, że każdy odwrót działa na niego szczególnie demoralizująco, czyli że – do pewnego stopnia – stanowi drugorzędny materiał żołnierski.

Badanie wojny 1920 roku winno położyć kres tym dyletanckim twierdzeniom. Oficer i żołnierz, którzy, w następstwie błędów strategicznych, wykonali odwrót przeszło 600-kilometrowy, pod naciskiem trzykrotnie niemal przeważającego nieprzyjaciela, stosując fałszywą taktykę linearną, nie utracili jednak nigdy zdolności bojowych i w rezultacie, zwyciężywszy pod Warszawą, dowiedli, że ujemne sądy wydawane o nich są powierzchowne. Zasługują oni na to, aby głębiej zbadać ich psychikę.

Chciałbym, aby moja praca, wraz z jej błędami, była zachętą dla tych wszystkich, którzy mając dużo do powiedzenia, dotychczas milczeli. Mówiąc to mam na myśli oficerów liniowych, którym armia nasza z roku 1920 tak wiele zawdzięcza.

Spotkać mnie może zarzut, że mówiąc o wojnie 1920 roku nazbyt krytycznie omawiam wypadki i podkreślam błędy, pomijając strony dodatnie, w które tak obfitowała ta ciężka dla nas wojna.

Czynię to świadomie. Nie tylko w myśl zasady, że trzeba się uczyć na własnych błędach, nie tylko dlatego, że – moim zdaniem – we wszystkich dziedzinach naszego piśmiennictwa wojskowego panuje ton zbyt gloryfikacyjny, zrozumiały po zwycięstwie, lecz szczególnie dlatego, że na szczeblu dowódcy dywizji, z którego oceniam wypadki bojowe, błędy te dają się odczuwać najbardziej.

Na koniec poczuwam się do obowiązku serdecznego podziękowania Szefowi Wojskowego Biura Historycznego, p. generałowi Julianowi Stachiewiczowi, za ułatwienie mi pracy niniejszej.

*Jeśli chcemy atakować,  
musimy być przygotowani  
do obrony.*

Napoleon

## WIOSNA 1920

*Sprawa dowództwa – Grupy operacyjne – Front litewsko-białoruski – Linia kordonowa – Powrót do mojej dywizji – Papierowa gospodarka*

W końcu marca 1920 roku otrzymałem rozkaz zameldowania się w Warszawie u Naczelnego Wodza. Dowodziłem wtedy grupą operacyjną, składającą się z 2., 6. i 14. Dywizji z miejscem postoju w Mińsku Litewskim, podlegając dowództwu frontu litewsko-białoruskiego.

Był to okres, kiedy front ten rozczłonkowywano na trzy armie, i chodziło o wyznaczenie ich dowódców. Z grupy mińskiej formowano czwartą armię. Byłem pewny, że w dalszym ciągu będę nią dowodził. Tak się nie stało. Kiedy zameldowałem się w Belwederze, powiedział mi Marszałek Piłsudski, że ma wielkie trudności ze sprawami personalnymi, i zapytał, czy zgodzę się objąć dowództwo 10. Dywizji Piechoty, gdyż na dowódców armii mają być wyznaczeni inni generałowie. Muszę przyznać, że propozycja ta była dla mnie nader przykra, nie dałem tego jednak odczuć Marszałkowi. Wiedziałem, w jak ciężkiej sytuacji znajduje się Naczelnny Wódz, wyznaczając dowódców. Mówiono o warunkach stawianych przez niektórych generałów. Potępiałem zawsze tych panów. W armiach zaborczych byliby wdzięczni za stanowiska znacznie niższe. Oczywiście zgodziłem się bez zastrzeżeń na propozycję Marszałka, nie dając mu poznać, jak przykra była dla mnie ta degradacja.

Byłem zwykłym, liniowym oficerem w byłej armii rosyjskiej i nigdy nie marzyłem o wysokich stanowiskach, tym bardziej że prócz wartości bojowych nie posiadałem żadnych kwalifikacji specjalnych. Rozumiałem jednak, że mam przewagę nad niektórymi generałami nie tylko dlatego, że już od roku 1915 robiłem wszelkie wysiłki dla sformowania armii polskiej w Rosji i że 4. Dywizja Strzelców, dowiedziona przeze mnie, była jedynym oddziałem, który po ciężkich przemarszach z Kubania przybył z Rosji do Polski z bronią w rękę, ale szczególnie dlatego, że jako były oficer armii rosyjskiej znałem charakter wschodniego przeciwnika, charakter naszej ludności na kresach wschodnich i topografię kraju.

Wszystkie te myśli przeszły mi przez głowę, gdy rozmawiałem z Marszałkiem Piłsudskim. Zdawałem sobie jednak sprawę, że wojna trwa, a sytuacja Naczelnego Wodza jest niezmiernie ciężka. Kwestie personalne były na-

szym przekleństwem. Czy miałem utrudniać sytuację? Chętnie po męczącej wojnie oddałbym się mojemu ulubionemu zawodowi – rolnictwu. Czas jednak nie był odpowiedni. Zgodziłem się więc i w kilka dni później zameldowałem się w Wilnie u generała Zygałłowicza, któremu przed kilkoma miesiącami zdałem 10. Dywizję Piechoty, a który obecnie wyznaczony został na dowódcę 1. Armii.

Dowodzenie grupą operacyjną w Mińsku pozostawiło mi przykre wspomnienia. Już samo pojęcie „grupa operacyjna” dało się nam we znaki w tej wojnie. Organizacja ta była wprost naszą plagą, gdyż stwarzała nowe organizmy dowodzenia, nie dając im ku temu żadnych środków. Stwarzano grupy w najrozmaitszych wymiarach, nawet wtedy, kiedy nie było żadnych operacji. Istniały grupy większe od armii, ale były i mniejsze od batalionu.

W zasadzie mogło się zdarzyć, że pewne zadanie wymagało połączenia kilku oddziałów, nie związanych ze sobą organizacyjnie lub pochodzących z różnych rodzajów broni. Wówczas jeden z dowódców obejmował całość i wykonywał pewien plan operacyjny. W podobnych wypadkach, np. we Francji, istniał już przygotowany zawczasu sztab takiej grupy. Wyznaczony dowódca, obejmując grupę, posiadał zorganizowany aparat dowodzenia, wyposażony we wszystkie nowoczesne środki.

Gorzej było u nas. Zwykle jeden z dowódców dywizji zostawał dowódcą grupy. Najczęściej nic nie było zorganizowane – ani łączność, ani środki lokomocji. Jeżeli więc taki dowódca zabierał ze sobą to, co miał w dywizji, to krzywdził swego następcę i swoją dywizję. Jeżeli tego nie zrobił, to nie mógł się po prostu ruszyć z miejsca. Jeśli jakimś sposobem dostał się do miejsca postoju swojej grupy, to był tam ciężarem jednego z podległych mu oddziałów, któremu „rekwirował” środki dowodzenia. Jeżeli się na to nie zdecydował, pozostawał bezczynny.

Pamiętam, że dowodząc dywizją codziennie ze strachem czekałem wyznaczenia mnie na dowódcę grupy. Miałem w sztabie jeden stary samochód. Jako dowódca grupy musiałem się nim, oczywiście, posługiwać, a zastępca mój pozostawał bez żadnego środka lokomocji. To samo dotyczyło łączności, najgorsze zaś było to, że i szefa sztabu [dywizji] należało „awansować” na szefa grupy, a dywizja musiała sobie jakoś radzić.

Dziwny wydaje się ten pęd do stwarzania grup, zwłaszcza gdy się zważy, że dowódca armii dowodził u nas 4-5 dywizjami, a więc liczbą, jaką dowodzić można bez trudności.

Chodziło tu o kwestię odpowiedzialności, którą wyższe dowództwa lubiły się dzielić, zwłaszcza w czasie niepowodzeń. Nie zamierzam omawiać

tych przebrzmiałych spraw szerzej, ale po moich doświadczeniach na tym polu życzę naszej armii, aby w przyszłej wojnie nie posiadała dowódców grup z nagła oderwanych od swoich macierzystych oddziałów, z aparatem dowodzenia stwarzanym „we własnym zakresie”.

Szczególnie w warunkach, jakie istniały na froncie litewsko-białoruskim, organizacja grup była nie tylko niecelowa, ale nawet szkodliwa. W jakimże bowiem okresie działo się to wszystko? Na froncie nie było pokoju, ale nie było i wojny. Wojska nasze stały rozciągnięte w długą linię, mając za najważniejsze zadanie osłonę ludności przed bolszewizmem. Kraj, biedny z natury, był do szczytu wyniszczony wojną światową. Dowództwo wojskowe w tych warunkach musiało starać się, by ulżyć miejscowej ludności. Scentralizowanie w Wilnie władzy gospodarczej dowództwa frontu bynajmniej temu nie sprzyjało. Grupy operacyjne, które mogły pośredniczyć między frontem a oddziałami i ludnością, nie posiadały ani aparatu gospodarczego, ani uprawnień. Gospodarce cywilnej, prowadzonej z wielką energią i znajomością rzeczy przez dzisiejszego wojewodę wileńskiego, pana Raczkiewicza, grupa mało mogła pomóc.

Tu dodam, że wielką wadą w całym ówczesnym systemie dowodzenia był brak osobistego porozumienia między dowódcą a podwładnymi. Wszystko ograniczało się do pisemnych rozkazów. Nie pamiętam, ażeby w ciągu całej zimy choć raz wezwano mnie na jakąś naradę czy konferencję, mimo że kilkakrotnie o to prosiłem. Kiedy obecnie generał Szeptycki w swojej książce skarży się, że narad takich nie zarządzało i Naczelne Dowództwo, to trzeba przyznać, że zaniechaliśmy najprostszej i najbardziej celowej drogi do kontaktu między przełożonymi i podwładnymi.

Armia nasza zimą 1919 roku na kresach wschodnich znajdowała się w ciężkich warunkach. Uzbrojona niejednolicie, ze słabą artylerią i dużymi brakami amunicji, wyszkolona naprędce, najczęściej tylko w musztrze formalnej, nie posiadająca prawie szkolenia strzeleckiego, źle zaopatrzona, często bez taborów, kuchni polowych i ciepłego umundurowania spędzała surową zimę ówczesną na biednych i wyniszczonych terenach, w ciągłych większych i mniejszych utarczkach z oddziałami sowieckimi.

Bardzo dzielnie zachowywało się społeczeństwo polskie na kresach wschodnich. Znaczna większość mężczyzn pełniła służbę wojskową, przeważnie w dywizji litewsko-białoruskiej, a wiele kobiet pracowało w szpitalach, zakładach gospodarczych i instytucjach filantropijnych. Trzeba

było podziwiać energię i poświęcenie naszych kobiet kresowych w tych niełatwych warunkach.

Ze wspomnień mińskich utkwiły mi w pamięci dwa wypadki, nie związane bezpośrednio ze sprawami wojska, ale charakterystyczne dla tych czasów.

Oddziały sowieckie, opuszczając Wilno, uprowadziły z sobą cały szereg obywateli, zajmujących pewne stanowiska. Byli wśród nich księża, profesorowie, lekarze i obywatele ziemscy. Później, właśnie w zimie 1920 r., zwalniano tych ludzi partiami, wymieniając ich na zwolenników [bolszewizmu] czy też obywateli sowieckich. Pamiętam powrót jednej z takich grup, w której znajdował się cały szereg wybitnych obywateli, z biskupem Michalkiewiczem i profesorem Massoniušem na czele. Wyjechaliśmy na ich spotkanie wraz z p. Raczkiewiczem do Borysowa, na linię naszych placówek. Długa kolumna ludzi, objuczonych tobołami, posuwała się przez zarośla, brnąc w śniegu. Powitanie było bardzo radosne i rozrzewniające.

Wówczas zdarzył się ciekawy wypadek.

Jeden z tych panów zbliżył się do mnie i zakomunikował mi, że posiada list wybitnego działacza sowieckiego, Polaka, do jego rodziny w Polsce. Otóż ów działacz, wręczając memu rozmówcy ten list, polecił mu, by przed oddaniem pisma krewnym pokazał je któremukolwiek z polskich wyższych dowódców. Stąd pan ten zwrócił się do mnie, wskazując mi ustęp, który zakreślił mu ów działacz sowiecki. Dotyczyło to jazdy Budionnego, działającej na Kaukazie: „Jazda ta – pisał ów Polak-komunista – jest wysmienita i nie chciałbym, aby kiedykolwiek trafiła do Polski”.

Był to jeden z wypadków, nie odosobniony zresztą, gdzie Polak-komunista pomagał swoim, jak mógł. Zdarzało się jednak i odwrotnie. Bywali Polacy-komuniści znacznie gorsi dla swoich niż Rosjanie.

Drugi ciekawy wypadek zdarzył się niedługo potem.

Pewnego dnia przekroczył granicę wraz z żoną i kilkoma przyjaciółmi znakomity pisarz rosyjski Dymitr Mereżkowski. Pozostał on w Mińsku dłuższy czas i miałem sposobność dyskusowania z tym miłym człowiekiem o wielkiej duchowej kulturze. Był rozżalony na Polskę: „Jak to – mówił – Polacy, naród tak rycerski, nie chcą wyratować nas od bandy zbójów, którzy przypadkowo opanowali władzę? Nie byłaby to walka z Rosją ani z jej przedstawicielstwem, byłaby to walka z bandytyzmem”.

Starłem się przekonać tego gorącego patriotę, że Polska nie może rozpoczynać wojny z Rosją. Nie możemy się wtrącać w sprawy wewnętrzne rosyjskie nie tylko dlatego, że nie mamy na to sił, ale i dlatego, że nauczyła nas



historia, iż nie należy nigdy mieszać się do spraw sąsiada ze wschodu. A gdyby to nawet było możliwe i Polska zajęła Moskwę, trzeba by się stamtąd wycofywać, gdyż mielibyśmy wszystkich przeciwko sobie. Komu wtedy oddalibyśmy władzę? Jakiemu stronnictwu?

Na to pytanie Mereżkowski nie mógł dać odpowiedzi, gdyż takiego stronnictwa w Rosji nie było.

Dużo mówiło się i mówi o systemie kordonowym, który wtedy istniał na froncie. System ten polegał na tym, że cała armia rozciągnięta była w cienką linię od Dniestru do Dźwiny, tworząc osłonę Polski od wschodu. Naczelnemu Dowództwu robiono zarzuty, że wzorując się na frontach z wojny światowej, a nie mając po temu ani sił, ani środków, nie starało się wynaleźć innego, bardziej dla nas odpowiedniego ugrupowania. Oczywiście, jeżeli weźmiemy pod uwagę tylko względy bojowe, to kordonowe to ugrupowanie było dla nas bardzo szkodliwe, gdyż nie pozwalało nigdzie zgrupować silniejszych odwodów ani ugrupować się w głąb.

Istniały jednak wówczas względy nie tylko bojowe.

Któż z nas nie pamięta roku 1919, nastrojów, warunków i stosunków, jakie wówczas panowały na wschodzie? Sterroryzowana ludność garnęła się do Polski, błagając o pomoc. Czy był dowódca, który by mógł odmówić tej pomocy, nawet z uszczerbkiem dla spraw strategicznej czy taktycznej natury? Właściwie cały rok 1919 i cała zima 1919/20 przeszły pod znakiem zabezpieczania tej ludności. Czy można winić dowódców, którzy z pewną ujmą dla zadań bojowych osłaniali swych rodaków?

Sądzę, że osławiona linia kordonowa w biernym okresie wojny była czymś naturalnym, a błąd polegał na tym, że zawczasu nie wytężyliśmy myśli, aby w razie potrzeby zmienić ją na inne, bojowo bardziej dla nas korzystne ugrupowanie.

Siłą rzeczy kordon przetrwał nie tylko całą zimę, ale i wiosnę, trwając w dalszym ciągu niemal do wrót Warszawy.

Zaniechaliśmy manewru, walczyliśmy linią. Stąd jej katastrofalne skutki do sierpnia 1920, tj. do czasu, kiedy zarzuciliśmy ją zupełnie.

We wspomnianej na wstępie przykrej dla mnie sytuacji dodatnią stroną było to, że porzucałem grupę, a wracałem do dowodzenia dobrze mi znaną i związaną ze mną całym szeregiem przeżyć 10. Dywizją Piechoty.

Dywizja ta miała swoją wyjątkową historię. Składała się z 2 części: z 4. Dywizji Strzelców, sformowanej na Kubaniu w roku 1918, i 10. Dywizji Piechoty, która formowała się w Łodzi.

Po rozbrojeniu I Korpusu generała Dowbór-Muśnickiego i po bitwie kaniowskiej<sup>1</sup> oficerowie i żołnierze, którzy nie chcieli wracać do kraju okupowanego przez Niemców, udawali się na Kuban do rosyjskiej armii generała Denikina, gdzie jeszcze istniała słaba możliwość formowania polskich oddziałów. W ten sposób na Kubaniu zebrała się grupa ludzi, należących do różnych organizacji i do różnych stronnictw politycznych.

Byli tam i piłsudczycy, i dowborczycy z I Korpusu, i hallerczycy z II Korpusu, z przekonanych socjaliści, narodowi demokraci i inni. Wszystkich tych ludzi, częstokroć wrogo do siebie usposobionych politycznie, łączyła wspólna idea tworzenia wojska polskiego.

Armia Denikina, osaczana przez Sowiety, nie tylko nie mogła uzbroić i zaopatrzyć polskich oddziałów, ale wymagała jeszcze, aby biły się one pod jej rozkazami.

Historia niewątpliwie odnajdzie tu wiele ciekawych momentów, ustalających patriotyzm, energię i siłę woli tych ludzi, którzy, odbywając dalekie, niebezpieczne podróże przez najrozmaitsze fronty niemieckie i sowieckie, wśród najcięższych warunków materialnych i moralnych, zmuszeni często przelewać krew za sprawy obce, dążyli niestrudzenie do jednego, by gdzieś w okolicy gór Kaukazu służyć interesom Polski i reprezentować jej honor.

Historię 4. Dywizji Strzelców w owych czasach charakteryzuje rozkaz generała francuskiego d'Anselme, dowódcy grupy dywizji, złożonej z 2 francuskich, 2 greckich i jednej polskiej dywizji, które tworzyły pod wspólnym dowództwem marszałka Franchet d'Esperay armię południową.

Gdy 4. Dywizja Strzelców opuszczała grupę, udając się wzdłuż Besarabii i Bukowiny do Polski, generał d'Anselme wydał następujący rozkaz pożegnalny:

Czwarta Dywizja Polska opuszcza Grupę i idzie w bój, by dotrzeć do granic swej Ojczyzny i by dokonać dzieła ostatecznej odbudowy wielkiej Polski, która dla Francji żywiła odwieczną przyjaźń i była najwierniejszą jej sojuzniczką.

Czwarta Dywizja Polska w ciągu wielu miesięcy walczyła z nami w Rosji i cała nasza Grupa mogła podziwiać energię, wierność i legendarną brawurę oddziałów polskich.

---

<sup>1</sup> W pobliżu Kaniowa na Środkowej Ukrainie 11 maja 1918 roku II Korpus gen. Hallera stoczył zaciętą bitwę z niemieckimi wojskami okupacyjnymi [przypr. red.].

Wśród olbrzymich trudności i wielkich niedostatków Polacy utrzymali wysoko poziom ducha i wiarę w przyszłość kraju.

Generał d'Anselme winszuje Im i dziękuje za usługi położone dla wspólnej Sprawy. W imieniu całej Grupy oddaję cześć Generałowi Żeligowskiemu, 4. Dywizji Polskiej i Jej Sztandarom.

(-) d'Anselme, generał

Po przejściu dywizji przez Odesę, Besarabię i Rumunię do Polski została ona na rozkaz Naczelnego Wodza połączona z 10. Dywizją Piechoty. Odnośny rozkaz brzmiał:

Przesyłam na ręce Generała wyrazy serdecznej radości, że dzielne wojska przez Pana dowodzone po długiej tułaczce i świetnych walkach na obcej ziemi stanęły wreszcie na gruncie ojczystym. Za dotychczasową służbę w obronie honoru oręza polskiego dziękuję Generałowi, Oficerom i Żołnierzom Dywizji. Zawiadamiam zarazem Generała, że wobec słabego stanu Dywizji, która rozporządza jedynie kadrowym materiałem, potrzebnym gwałtownie dla całego wojska, rozwiążuję niniejszym Jego Dywizję, przeznaczając skład do zaszczytnej roli zapłodnienia szeregów armii polskiej tym duchem wojennym, który dotąd cechował Dywizję Pana Generała.

(-) Józef Piłsudski, Wódz Naczelny

Z żalem rozstawała się „dzika” dywizja ze swoją dotychczasową tradycją i zmieniała nazwę z 4. na 10. Większość jednak stanowisk dowódców od brygad do kompanii objęli w niej przeważnie oficerowie 4. Dywizji, a jej podoficerowie i szeregowi zostali również wcieleni do 10. Dywizji. Wszyscy oficerowie i podoficerowie przeszli twardą szkołę, mieli duże doświadczenie, stali blisko żołnierza i stanowili pierwszorzędną materiał bojowy.

10. Dywizja, rozrzucona wówczas na całym froncie, zebrała się na rozkaz Naczelnego Wodza w okolicy Niżniowa – Złotego Potoku w przeddzień bitwy pod Jazłowcem, w której bohaterem dnia był pułk ułanów (dzisiejszy 14. pułk ułanów jazłowieckich, przybyły wraz z 4. Dywizją z Kubania pod dowództwem rotmistrza Plisowskiego). Tu odbyło się połączenie obu dywizji w jedną. W kilka dni później 10. Dywizja osiągnęła linię Zbrucza, stanowiącą do dzisiaj granicę państwa.

Omawiam obszerniej powstanie dywizji i jej tradycje, gdyż dzieje jej w przeważającej części stanowią treść niniejszych moich wspomnień.

Po bitwie pod Jazłowcem i zajęciu linii Zbrucza wyznaczony na dowódcę grupy do Mińska z wielkim żalem opuszczałem szeregi 10. Dywizji. Teraz wracałem, by znowu nią dowodzić.

10. Dywizja składała się z czterech pułków piechoty: 28., 29., 30. i 31. oraz 10. pap. Pierwsze dwa tworzyły XIX brygadę, dowodzoną przez pułkownika Małachowskiego, dwa drugie stanowiły XX brygadę, którą dowodził pułkownik F. Sikorski. Obaj ci dzielni oficerowie przybyli wraz z 4. Dywizją Strzelców i dowodzili w niej od jej najwcześniejszych zaczątków.

Gdy powtórnie obejmowałem dywizję w Wilnie, dwa pułki dywizji: 28. i 30. znajdowały się w Wilnie, 29. zaś i 31. były na froncie litewskim.

Objąwszy dowództwo, znalazłem w sztabie dywizji wielkie zmiany, szczególnie w dziedzinie prac kancelaryjnych. Rozkwitła niezwykle papierowość. Pisano z jednego pokoju do drugiego. Kwestie, które można było załatwić w kilku słowach telefonicznie, nabierały wagi, wchodząc w akta, gdzie dopiero rozpoczynał się proceder referowania całej tej papierowej gospodarki. Odnosiło się wrażenie, że nie tyle chodzi o to, aby coś zrobić, ile o to, żeby na wszystko mieć usprawiedliwienie w aktach i odpisach na wypadek odpowiedzialności.

Na szczęście choroba ta nie dotknęła pułków. Nie zdołała tam dotrzeć. Broniło się przed nią życie i prosty rozum żołnierski.

Podobnie obcy był dla mnie tu nowy system dowodzenia. Dowództwo armii dysponowało często już nie batalionami, ale nawet kompaniami.

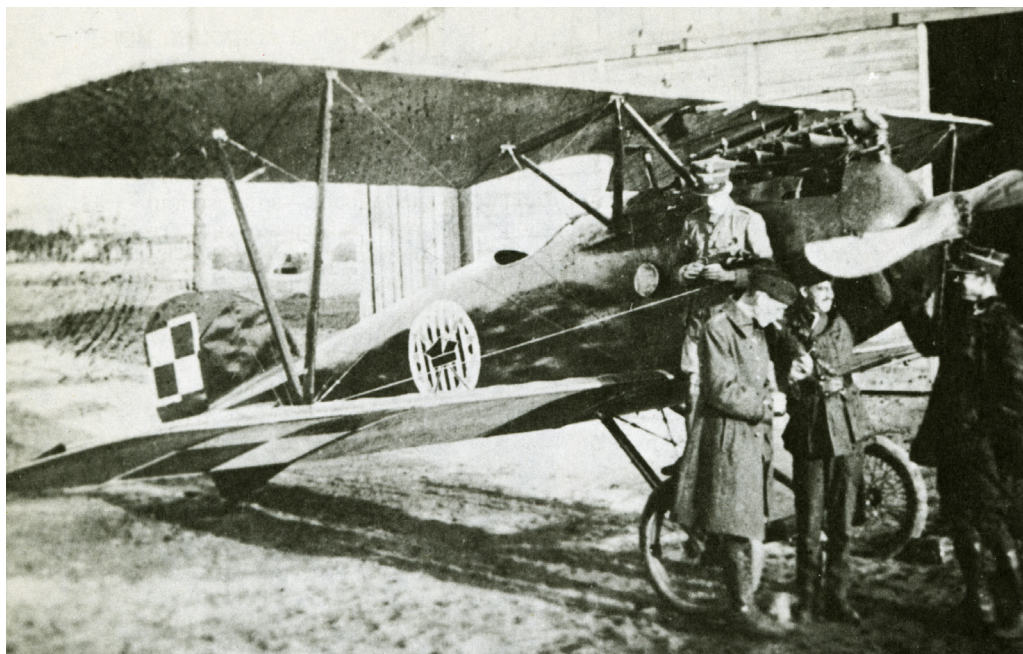
Dziś, z perspektywy lat, szukając źródła tej choroby, widzę ją przede wszystkim we wzajemnym braku zaufania. Wyżsi oficerowie należeli do różnych armii zaborczych, a więc pochodzili z różnych szkół i środowisk. Prawie nigdy nie mogliśmy się zrozumieć. Gotów jestem przyznać, że niektórzy starsi austriaccy oficerowie stali wyżej od rosyjskich. Polak w armii rosyjskiej pozbawiony był możliwości wyższego wykształcenia wojskowego. Nie mógł on skończyć wyższej szkoły wojennej, nie mógł zajmować całego szeregu stanowisk sztabowych. Mógł być tylko i wyłącznie oficerem liniowym. Stąd jego niższość od oficera austriackiego w zakresie organizacyjnym i służby w sztabach i stąd jego wyższość w służbie liniowej i w sprawach bojowych. Austriaccy generałowie po przejściu do naszej armii przynieśli z sobą cały system papierowości nadmiernej, jak się zdaje, nawet w starej i celowo zorganizowanej armii austriackiej.



Sztab 56. pułku Armii Czerwonej.



Jeńcy sowieccy



Samolot 7 Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki.



Painting by James B. Deneen

Samoloty 7 Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki.atakują kolony wroga.  
Obraz Jamesa Deneen'a.